

# NIEZNALEŻNE SŁOWO



*Im dalej społeczeństwo dryfuje od prawdy, tym bardziej nienawidzi tych co ją głoszą.*

George Orwell

Numer 2 (108) Wałbrzych i okolice: Czerwiec 2015 r.



## Wstępniak

**Wielu ludzi zadaje sobie teraz pytanie: Co się stało? Uważam, że odpowiedź jest stosunkowo prosta. Stało się to o czym, w wizjonerskim szale, mówił Michnik w programie Lisa: Pijany Komorowski przejechał na pasach niepełnosprawną zakonnice w ciąży.**

Wracamy jednak na nasze podwórko. Dnia 29 maja o godzinie 13:00 odbyło się w Ratuszu spotkanie z prezydentem miasta dr Szelemejem w sprawie zmian w organizacji ruchu drogowego na placu Magistrackim.

Było tak. Zaraz po zakończeniu remontu tego placu kostka brukowa zaczęła tańczyć. Ktoś wpadł więc na pomysł aby zagrozić wjazd na odcinek przed budynkiem prokuratury. Dzięki temu, aby wjechać na parking przy ulicy Rycerskiej wystarczy objechać Śródmieście dookoła. Jeśli ktoś dobrze zna miasto to zajmuje mu to tylko około 20 minut. Właściciele okolicznych sklepów i zakładów usługowych postanowili zaprotestować. Mówili o spadku obrotów i rosnącej liczbie opustoszałych lokali. Ryzyko, że kostka znów będzie tańczyć jest jednak widocznie zbyt duże. Pan Prezydent powiedział że wszędzie w Europie śródmieścia są dla samochodów zamykane i opłaty za parkingi rosną. Gwarantem świetlanej przyszłości dla handlu i usług jest jego plan „Zielony Wałbrzych 2020”. (W tym miejscu spłynęła na mnie żałość wielka. Uświadomiłem sobie, że jak będzie tak dalej to może zniknąć mój ulubiony sklep na Słowackiego. Lubię tam chodzić gdyż personel jest miły, a pieczywo, mięso i wędliny są tam dużo lepsze niż w wielkopowierzchniówkach.) Obserwowałem z uwagą słuchających tego ludzi. Niektórzy wzruszali ramionami i kierowali się w stronę drzwi. Chyba zrozumieli, że czas zrealizować myśl strzelistą: Poszukać innej pracy i wziąć kredyt.

Na temat rewitalizacji placu Magistrackiego napisałem już dwa (opublikowane na portalu „wdolnymyslasku.pl”) teksty. Pierwszy (10.IX.2014): „A teraz możemy ich pocałować w granit”. Drugi (30.IX.2014): „A teraz możemy ich pocałować w granit. – Po raz drugi.”. Pozostaje mi więc chyba tylko zakończyć ten wstępniak słowami:

**A teraz możemy ich pocałować w zapore.**



## JOW-y prostą drogą do oligarchizacji

Jan Matkowski

**Czy Chrystus miałby szansę wygrać wybory w okręgu jednomandatowym z Janem Kulczykiem?**

Dobre pytanie. Żeby długo nie dyskutować, można sięgnąć po przykłady zza wschodniej granicy Polski. Współczesna historia państw byłego ZSRR, szczególnie Ukrainy, dość dobrze ilustruje, jak za pomocą jednomandatowych okręgów udało się doprowadzić do oligarchizacji kraju.

O wyborach na Ukrainie mogę opowiadać całymi dniami. Od 2002 roku aktywnie włączałem się do działań mających na celu przeprowadzenie tych wyborów w sposób demokratyczny. Kilkakrotnie z kolegami jeździliśmy również do Donbasu. Tuż przy granicy ukraińsko-rosyjskiej, na mocy udzielonych nam mandatów, tropiliśmy fałszerstwa i nieprawidłowości.

Pesymistów mówiących o braku

JOW = PARODIA DEMOKRACJI		
	LICZBA WYBORCÓW	MANDATY
TORYSI	10 754 107	310
PARTIA PRACY	9 071 183	228
UKIP	3 696 202	1
LIBERALNI DEMOKRACI	2 270 257	8
SZKOCKA PARTIA NARODOWA	1 454 436	56
ZIELONI	1 104 505	1
UNIONIŚCI	184 260	8
facebook.com/partiarazem		razem

jakiegokolwiek szansy dla ukraińskiej demokracji, niezależnie od systemu wyborczego, pragnę poinformować, że połowa parlamentu w tym kraju jest wybierana z list partyjnych, połowa zaś w okręgach jednomandatowych. Więc mamy do porównania

dwa modele. Zdobyty na Ukrainie doświadczeniem na temat tego, jak oligarchia wpychała do parlamentu swoich ludzi w okręgach jednomandatowych, chcę się podzielić z każdym zwolennikiem tej „wspaniałej” – tylko z pozoru – idei.

Divide et impera – dziel i rządź.

Mimo że Ukraina otrzymała niepodległość w 1991 roku, pierwsze wybory demokratyczne odbyły się dopiero w 1994 roku. Do tego czasu w parlamencie zasiadali posłowie wybrani w jednomandatowych okręgach wyborczych w wyborach w 1990 roku. Zdecydowana ich większość to były osoby wskazane przez reżim komunistyczny lub zainstalowane przez KGB jako „pozasystemowe”. Żeby nie dopuścić do powstania partii politycznych, ordynacja wyborcza w 1994 roku pozwalała wysuwać kandydatów przez zakłady przemysłowe. W przeciwieństwie do przedstawicieli środowisk robotniczych kandydaci partyjni, żeby się zarejestrować, musieli spełnić znacznie większe wymagania. To spowodowało, że PKW nie rejestrowała kandydatów politycznych, ponieważ partie nie mogły sobie poradzić z komplikacjami podczas ich zgłaszania.

Ciąg dalszy na str. 2.

# JOW-y prostą drogą do oligarchizacji

Ciąg dalszy ze str. 1.

Odbywało się to pod hasłami „walka z systemem partyjnym”. Nic dziwnego, że w większości okręgów zwyciężyli tzw. czerwoni dyktatorzy, kandydujący jako przedstawiciele robotników, a nie partii komunistycznej, do której należeli. Podsumowując, do parlamentu zostali wybrani w przeważającej większości komuniści, którzy startowali jako kandydaci „niezależni”.

Następne wybory odbyły się w 1998 roku. Pod presją społeczeństwa w 1996 roku została uchwalona Konstytucja Ukrainy, a system wyborczy zmieniono na mieszany: połowa parlamentu miała być wybierana z list partyjnych, połowa zaś w okręgach jednomandatowych. Mimo że większość wyborców na Ukrainie zagłosowała na partie demokratyczne, komuniści i tak nadal rządzą. Z 450 mandatów 84 zdobyli z listy partyjnej, 37 zaś w okręgach jednomandatowych. Z kolei kandydaci „niezależni”, w większości przedstawiciele przemysłu i biznesu wywodzący się ze środowisk postkomunistycznych, uzyskali 145 mandatów. „Niezależni” szybko dogadali się z komunistami.

Podobnie było w 2002 roku. Partie demokratyczne osiągnęły jeszcze większy sukces. Jednak ówczesny prezydent Leonid Kuczma przy pomocy posłów wybranych w okręgach jednomandatowych stworzył większość, na której czele stanął Wiktor Janukowycz.



Czekam na JOW-y

## Tuszki polityczne

Po pomarańczowej rewolucji postanowiono zlikwidować JOW-y. Historia sceny politycznej dawała wiele przykładów na konieczność takiego kroku. Wybrany w JOW-ach polityk bardzo często zostawał „kupiony” przez rządzących. W zamian za rządowe przywileje dla okręgu wielu polityków można było przeciągnąć na swoją stronę. W przypadku odrzucenia tych przywilejów polityk, który się na to zdecydował, był krytykowany przez swoich wyborców. Rząd oczywiście starał się

wykorzystać fakt odmowy współpracy takiego polityka z systemem państwowym i doprowadzał do tego, by w następnych wyborach ta osoba nie została ponownie wybrana. Kto będzie głosował na antysystemowego kandydata z Wałbrzycha, który nie dołączył do obecnego „systemu”, czym naraził się premierowi? Z tego powodu zostały cofnięte dotacje dla miejscowych kopalni. A wyborcy chcą mieć przywileje.

W 2007 roku oligarchom na Ukrainie udało się rozwiązać parlament wybrany wyłącznie z list partyjnych i powrócić do systemu mie-

szanego: połowa parlamentu została wybrana w JOW-ach. Wtedy pojawił się termin „tuszek politycznych”. Były nimi osoby, które zdradzały wyborców, lub całe partie polityczne, które w zamian za różne przywileje dołączały do rządzącej koalicji. W wyborach 2012 roku otoczenie Wiktora Janukowycza postanowiło zbudować koalicję parlamentarną z tzw. koni trojańskich, czyli kandydatów startujących w JOW-ach, którzy mieli za wszelką cenę zwyciężyć, a potem jako „tuszek” dołączyć do Partii Regionów. W tym celu administracja prezydencka rozdawała

chętnym nawet pieniądze na wybory. W JOW-ach zwyciężali kierowcy i ochroniarze oligarchów. Inni stosowali różne metody, obiecywali wyborcom złote góry. Jeden z takich kandydatów postawił w okolicy Lwowa siedem pomników Stepana Bandery.

Pięć sposobów na wygranie wyborów w JOW-ie:

1. Kandydat „niezależny” dostaje wsparcie od miejscowego wielkiego biznesu i przywileje od rządu. Dzieje się to za pośrednictwem ruchu obywatelskiego, który „kandydat” organizuje. Jeszcze przed wyborami kandydat staje się znany jako lobbysta regionu.

2. Metoda rozdrobnienia głosów. Wystawia się dwóch lub więcej rywali, głoszących te same hasła co dany kandydat. Tzw. techniczni kandydaci mogą mieć te same nazwiska, co on.

3. W JOW-ie kandyduje lokalny pracodawca. Obiecuje stworzenie nowych miejsc pracy, od lat jest znany mecenasem i wspiera różne inicjatywy. Przyjaźni się z premierem, ale „nie należy” do żadnej partii.

4. Znana postać, które zostaje dopasowana do zainteresowań elektoratu: w prawicowym środowisku – prawicowa, w lewicowym – lewicowa. Może być również znany dziennikarz. Nie jest oligarchą, ale działa dla dobra sprawy i obiecuje. W parlamencie wspiera aktualnie rządzących.

5. Przekupienie posłów bezpośrednio po wygraniu wyborów. Opozycjonista dostaje stanowisko w rządzie, przywileje dla okręgu itd.

## Gdzie są nasze góry?

Teresa Roszkowiak i  
Aleksandra Makowska-Prochera

Na terenie objętym ochroną przez dwa obszary Natura 2000 – siedliskową i ptasią – w otulinie parku krajobrazowego w bezpośrednim sąsiedztwie osiemdziesięcioletniego schroniska Andrzejówka w Rybnicy Leśnej znajduje się kamieniołom, w którym wydobywa się kamień budowlany melafir. Kiedyś była to mała kopalnia wydobywająca kamień dla potrzeb lokalnych. W chwili obecnej pozyskuje się ten surowiec na skalę przemysłową, co zaowocowało monstrualną dziurą ziejącą skalnym pyłem, duszącym dla ludzi i zwierząt. Powstający hałas przy wysadzaniu skał i ryczące silniki diesla gigantycznych pojazdów transportujących urobek przepłoszyły wszelkie żywe istoty, w tym ludzi.

Powierzchnia kopalni zajmuje w tej chwili 22 ha, ale to dla pazernego niemieckiego kapitału ciągle za mało. Planowana powierzchnia obszaru wydobycia kamienia to 160 ha, co oznacza, że za chwilę kopalnia powiększy się aż siedmiokrotnie. Powstanie więc na naszych oczach jedno z największych w Europie zagłębi. Właściciele kopalni planują rocznie wydobyć i wywieźć z Rybnicy 2 miliony ton urobku. Jak zatem będzie wyglądać ten teren, nietrudno sobie wyobrazić, widząc skutki obecnej ekspansji. Obcy kapitał wywozi nam góry, pozostawi zaś gigantycznych rozmiarów ranę, która się nigdy nie zabliźni i w której życie nigdy się nie odrodzi. Zniknie również urokliwa zabytkowa Andrzejówka, a także lubiane przez



wałbrzyszan wyciągi narciarskie, trasy biegowe i zjazdowe oraz górskie szlaki turystyczne. Jeśli latem tego roku zostanie wydana kolejna koncesja, to dewastacja środowiska potrwa kolejne trzydzieści lat. Czy na pewno tego chcemy? Warto w tym miejscu przypomnieć, że kopalnia funkcjonuje na terenach prawnie chronionych bez decyzji środowiskowej.

Cały urobek na poziomie 1-1,5 miliona ton rocznie KSS Bartnica transportuje drogami publicznymi przez dzielnice mieszkalne Wałbrzycha w kierunku Dworca Głównego. Oznacza to, że pod oknami domów w zwartej zabudowie co minuta przejeżdża 40-tonowa ciężarówka. Te potwory na kołach przejeżdżają trzy mostki, na których nie ma oznakowania o dopuszczalnym tonażu. Skądinąd wiemy, że to 24 t. Drogi są zdewastowane, wąskie, o dużych spadkach (tereny górskie), skarpy przy drogach się osuwają.

Smród spalin, przegrzanych hamulców i silne wibracje to codzienność, w której muszą żyć wałbrzyskanie. Uciążliwości te wpływają i będą wpływać na życie i zdrowie fizyczne i psychiczne mieszkańców.

Obecna droga transportu kruszywa jest jedyną drogą do parku krajobrazowego i zabytkowego schroniska Andrzejówka. To właśnie schronisko zajęło pierwsze miejsce w rankingu schronisk górskich w 2013 roku. Jest to miejsce masowej rekreacji, a strefa rozrzutu kamienia obejmuje drogę do schroniska i terenu wyciągów narciarskich. Oznacza to, że kiedy w kopalni wykonuje się roboty strzałowe, wszelkie życie w tym obszarze ustaje. Za górą Bukowiec, którą w tej chwili KSS Bartnica eksploatuje, znajduje się uzdrowisko Sokołowsko. To urokliwa miejscowość w kotlinie górskiej o wyjątkowym mikroklimacie. Tu właśnie leczy się choroby górnych dróg oddechowych. Warto pamię-

tać, że Sokołowsko to protoplasta słynnego szwajcarskiego kurortu Davos. Regionalna Dyrekcja Ochrony Środowiska we Wrocławiu założyła w swej opinii obcięcie szczytu góry Bukowiec, co spowoduje nieodwracalne zmiany klimatyczne Sokołowska. Unikatowy na skalę światową mikroklimat bezpowrotnie zniknie.

Jak zatem widać, działalność kopalni spędza sen z powiek przede wszystkim mieszkańcom i ekologom, a co z politykami? Konflikt interesów trwa od lat i nadszedł już czas, aby władze Wałbrzycha i Mioszowa głośno i jasno zajęły stanowisko w tej sprawie. Muszą wiedzieć, że bardzo duża grupa protestuje przeciwko grabieży gór i składa wnioski oraz zbiera podpisy, aby wreszcie ukroić ekspansyjną działalność kopalni i zapobiec powstaniu nowej. Władze Mioszowa, nie patrząc na nastroje społeczne, zatwierdziły plan zagospodarowania przestrzennego, na podstawie którego hektary terenu rekreacyjnego przeznaczono na cele górnicze. Jednocześnie toczy się postępowanie administracyjne na wydanie decyzji środowiskowej dla spółki Murillo, która chce otworzyć kopalnię melafiru o powierzchni 30 ha na górze Klin. Spółka ta, kiedyś pod nazwą Agar, wykupiła działki rekreacyjne od gminy Mioszów i natychmiast przystąpiła do udokumentowania złoża melafiru oraz – jak można się było spodziewać – wystąpiła o wydanie koncesji na jego wydobycie. W sprawie sprzedaży działek prowadzone było postępowanie karne o korupcję wobec trzech mioszowskich radnych i pani wiceburmistrz miasta. Z nie-

zrozumiałych względów nikt nie wystąpił o unieważnienie zakupu działek nabytych w sposób nielegalny – w wyniku przestępstwa.

Na górze Klin, gdzie ma być eksploatowany kamień, w latach 50. była kopalnia uranu. Świadczy o tym hałda pouranowa i kilometrowe sztolnie. Ponowne otwarcie tej góry grozi drugim Czarnobylem, ale tym – jak dotąd – żadna władza się nie przejmuje. Okoliczności zamknięcia kopalni nie są do końca znane, ale uran pozostał, i to jest pewne. Przeraza nas wizja otwarcia tej śmiertelnej radioaktywnej góry, bo tu mieszkamy i żyjemy. Również przerażeni jesteśmy realną wizją przedłużenia na kolejne długie lata koncesji dla kopalni KSS Bartnica, dalszą dewastacją środowiska i perspektywą uciążliwego wywozu urobku do miasta.

Jest pewne, że gdyby cały ten teren znajdował się nadal pod władaniem Niemiec, to władze niemieckie nigdy by nie dopuściły do zniszczenia własnej perły, jaką jest Andrzejówka, i unikatowej przyrody wokół niej. Sęk w tym, że teren leży na obszarze Polski, a inwestorem jest kapitał niemiecki. Czy dziwić więc może kogoś to, że pragniemy zachować nasze góry, lasy, florę i faunę dla potomnych, tak jak przez wieki czynili to zaradni Niemcy? Dzisiaj, niestety, w walce o zachowanie piękna naszych gór jesteśmy osamotnieni, ale wierzymy, że władze wszystkich szczebli zrozumieją, iż troszcząc się o środowisko, troszczymy się również o ich zdrowie i poczucie dumy z unikatowego w skali świata terenu, na którym mamy szczęście żyć.

# Spacer po starym Wałbrzychu

Maciej Badora

**Puste witryny sklepowe w Śródmieściu Wałbrzycha i popadające w ruinę zabytkowe budynki – oto obraz, do którego większość wałbrzyszan jest przyzwyczajona. Patrząc na niewykorzystaną i niszczącą zabudowę, w której przy odpowiednich inwestycjach lokum mogliby znaleźć lokatorzy i przedsiębiorcy, obserwujemy nowe, komunalne domy mieszkalne, wybudowane ostatnio w różnych dzielnicach miasta.**



Choć nowoczesne podobno i komfortowe, są chyba tylko kwiatkiem do mocno już zużytego kożucha. Stare wałbrzyskie dzielnice to przecież skupisko budynków w opłakanym stanie, gdzie zaniedbania ciągną się od dziesięcioleci. Widać to zwłaszcza w domach nieco oddalonych od głównych ulic, choć nawet te bardziej eksponowane, dotknięte malarskim pędzlem, pochwalic się mogą raptem nowymi fasadami. I oto przed władzami miasta wylania się wyzwanie: utrzymać historyczną zabudowę, nie pozwolić, aby przez dekapitalizację popadła w całkowitą ruinę.

Tutaj rozwiązuje się worek z problemami. Po pierwsze, dwuwładza w gospodarce komunalnej Wałbrzycha – system utrudniający podejmowanie decyzji i samo działanie. Funkcje właścicielskie lokali na zebraniach wspólnot mieszkaniowych Gminy Wałbrzycha sprawują urzędnicy Wydziału Infrastruktury Miasta. Nieruchomościami zaś zarządzają pracownicy Miejskiego Zarządu Budynków. Taki podział kompetencji prowadzi do szukania usprawiedliwień i powoływania się na własną niemoc, nie sprzyja rozwiązywaniu problemów. Wielka szkoda, tym bardziej że utrudnia to również działania prywatnym właścicielom mieszkań, zainteresowanym właściwym utrzymaniem i eksploatacją budynków.

Przepisy mówią, że ciężar

utrzymania części wspólnych nieruchomości, np. elewacji i klatek schodowych w budynkach, w których wykupiono część mieszkań, ponoszą wspólnoty mieszkaniowe. Uchwały o inwestycjach i sposobach zarządzania nieruchomością podejmuje wszyscy właściciele lokali. Nie decydują natomiast lokatorzy mieszkań komunalnych. Najemcy płacą wprawdzie czynsz, ale nie łączą go z potrzebami nieruchomości. A stawki tych opłat, regulowane zarządzeniem Prezydenta Miasta Wałbrzycha, są oderwane od potrzeb remontowych – dla mieszkań w modernizowanych budynkach przewidują zaledwie 10-procentową zwyżkę. Tu pojawia się drugi problem, ponieważ skutek tych działań jest oczywisty: wpływy nie pokrywają kosztów inwestycji, a miasto – z i tak już bardzo wysokim deficytem budżetowym – na którym spoczywa część remontowych wydatków, ma trudności z ich finansowaniem.

Następnym kłopotem jest uchylanie się najemców od płacenia czynszu i bezprawne zajmowanie mieszkań. Choć w Wałbrzychu to



problem na dużą skalę, polityka władz w tej sprawie jest pasywna. Zaległości czynszowe są umarzane, albo – w przypadku stosownego wniosku – odpracowywane. To nie zabezpiecza jednak potrzeb inwestycyjnych, jest raczej szeroko pojętym wsparciem socjalnym. Podobną rolę odgrywa dodatek mieszkaniowy, przysługujący w tym wpadku

nie tylko najemcom.

Fakt, że stare budownictwo Wałbrzycha często spełnia funkcje budynków socjalnych, również nie jest bez znaczenia. Mieszkańcy lokali gminnych często nie czują odpowiedzialności za swoje domy; efektem są zdewastowane elewacje, klatki schodowe czy zniszczone drzwi

wejściowe do budynków. To zniechęca właścicieli mieszkań do angażowania się w kosztowne remonty i naprawy, a stopniowo doprowadza do degradacji całych kamienic.

Wreszcie dochodzimy do opuszczonych sklepowych żaluzji i ogłoszeń o wynajmie pomieszczeń biurowych. Dlaczego widzimy je coraz częściej? Przecież firmy, które chcą prowadzić działalność gospodarczą i usługową w zabytkowej części miasta, mogą być dla Wałbrzycha rozwiązaniem wielu problemów. Lokując swoje siedziby np. w śródmiejskich kamienicach, przedsiębiorcy także są zainteresowani ich rewitalizacją i remontem. Tu Rada Miejska, chcąc wyjść firmom naprzeciw, ustaliła dla nich preferencyjne stawki podatku od nieruchomości. Krok w dobrym kierunku, szkoda jednak w tym, że wielu przedsiębiorców nie może skorzystać z obniżonego podatku. Wprowadzono go bowiem dla kilku wybranych profili działalności, które nie mają wiele wspólnego z obecną administracyjną funkcją wałbrzyskiego centrum.

Trudno uchronić przed ruiną najbardziej zniszczone budynki Wałbrzycha, trudno w krótkim czasie nadrobić konieczne remonty w zabytkowej zabudowie i zaniedbania wielu dziesięcioleci, zwłaszcza po bezprecedensowym regresie w rozwoju miasta przez ostatnie 25 lat. To, co trzeba zrobić najpilniej, to inwestować w tanie w utrzymaniu budownictwo socjalne, gdzie mieszkanie znalazłby osoby, które nie radzą sobie z ponoszeniem kosztów w budynkach komunalnych. Następnym krokiem powinno być sprzedawanie przez miasto całych budynków, zwłaszcza tych w złym stanie technicznym, prywatnym właścicielom po obniżonych cenach. Warunkiem kupienia takiego domu musiałoby być jednak zobowiązanie nowego właściciela do przeprowadzenia w nim niezbędnych remontów i napraw. I jeszcze jedno: konieczna jest większa dbałość miejskich służb, aby zapobiegać dewastacjom kamienic, chociażby przez powołanie specjalnych grup interwencyjnych w straży miejskiej.

Jak szybko udałoby się powstrzymać dekapitalizację starych dzielnic Wałbrzycha, nie wiadomo. Jedno jest pewne: bez niezbędnej kompleksowej i konsekwentnej polityki władz miasta, nie będzie to możliwe.

## Przeszłość

Bogusław Girin

**„Przeszłość – jest to dziś, tylko cokolwiek dalej...”**

Cyprian Kamil Norwid

Ludzie, narody, miejsca są zanurzone w niematerialnej substancji, której na imię „Przeszłość”. Z niej wyszliśmy, w niej trwamy, czy tego chcemy czy nie, bo nie jesteśmy w stanie się od niej uwolnić.

Przypomnijmy sobie pewne fakty: 6 lutego 1989 roku rozpoczęły się obrady Okrągłego Stołu, jednak szybko utknęły w martwym punkcie. Dla ich ratowania podjęto kolejną, bo już drugą turę rozmów w Magdalence. Było to 2 marca. Pierwsza, która miała przygotować grunt do porozumień, rozpoczęła



się 27 stycznia tego roku. 5 kwietnia 1989 roku podpisano porozumienie między częścią działaczy opozycyjnych a stroną rządową. Dwa miesiące później odbyły się wybory do „Sejmu kontraktowego”. Pierwsza tura wyborów 4 czerwca, druga

dwa tygodnie później 18 czerwca 1989 roku.

„Wasz prezydent (Wojciech Jaruzelski), nasz premier” – postulował Adam Michnik, aktywny uczestnik obrad okrągłostołowych, ale też wspólnego biesiadowania obu wysokich stron.

24 sierpnia 1989 roku na czele nowo powstałego rządu stanął Tadeusz Mazowiecki, który w swoim exposé ogłosił „grubą kreskę”, kreskę, która wychodząc z przeszłości, deformuje współczesność, bo wciąż trwa. Nie zostały spisane „czyny i rozmowy”... W tym też czasie Ośrodek Fundacja Karta zabiega, by dzień 4 czerwca ogłosić świętem wolności czczonym co roku. Myślę, że nazwa święta powinna brzmieć „Święto Częściowej Wolności”.

A jaki wpływ ta nieodległa

„przeszłość” wywiera na ludzi, których mijam na ulicach Wałbrzycha? Co zyskali, co stracili?

Pragnę zaznaczyć jednoznacznie, że nie jestem przeciwnikiem porozumień, ale uważam, że nie wykorzystaliśmy nowej sytuacji, a przeszkodą w tym była gruba kreska. To dzięki niej duża część nomenklatury wzbogaciła się kosztem społeczeństwa. Nowa rzeczywistość korzeniami zapuszczonymi w nieodległej przeszłości zaczęła formować także nowe stosunki gospodarcze. Prywatyzacje bądź likwidacje przez prywatyzację tworzą obszary biedy. W krótkim czasie na Dolnym Śląsku, w rejonie Wałbrzycha, skutecznie wyrugowano przez prywatyzację przemysł Iniarński. Przecież len można kupić w Chinach! Jedną decyzją banku, który odmówił kredytu na bieżącą produkcję, spowo-

dowała likwidację wałbrzyskiego Polsportu, firmy znanej nie tylko w Polsce, ale i w Europie. Kilkaset osób, w większości mieszkańców dzielnicy Biały Kamień, znalazło się na bruku, a duża ich część pozostaje tam do dzisiaj. Po likwidacji wałbrzyskich kopalń kolejne grupy ludzi tracą pracę. Rząd tworzy Agencję Rozwoju Regionalnego, która jest parawanem dla jego indolencji. Cywilizacja europejska postawiła człowieka na piedestale jako najwyższą wartość, niestety komunizm, w którym żyliśmy, sformułował to nieco inaczej: „Jednostka niczym, jednostka zerem”. Myślę, że takie podejście do człowieka wyniesione z niedalekiej przeszłości funkcjonuje tu i teraz. Prasa przynosi zbyt dużo informacji na ten temat.

Ciąg dalszy na str. 4

# Po co robią nam wodę z mózgu?

Radosław Mechliński

Wolny Rynek. Hasło wytrych na usprawiedliwienie wszystkich niekorzystnych dla pracowników zjawisk na polskim rynku pracy. Zatrzymajmy się na chwilę nad pojęciem „ryнку”. Według definicji chętnie przytaczanej przez ekonomistów jest to proces, za pomocą którego kupujący i sprzedający określają, jaki towar chcą kupić lub sprzedać i na jakich warunkach, czyli za ile. Krótko i treściwie. Większość z nas z takim ujęciem pewnie się zgodzi. To czym w takim razie jest tzw. rynek pracy? Wspomni na przed chwilą definicja jest w tym przypadku równie chętnie przytaczana, z tym że kupującym jest pracodawca, sprzedającym – pracobiorca, towarem – ludzka praca, a zapłatą – wynagrodzenie za nią. I to już nie jest takie oczywiste oraz jednoznaczne. Dlaczego? Ponieważ praca nie jest towarem. Czy to się komuś podoba czy nie. Źródłem takiego twierdzenia dla jednych jest biblijna Księga Rodzaju, dla innych Deklaracja Filadelfijska Międzynarodowej Organizacji Pracy z 1944 roku, do której należało w 2014 roku 185 państw członkowskich. Ktoś może zapytać, a co to zmienia? Przecież to tylko kwestia nazewnictwa.



Otóż zmienia to wszystko.

Wychodząc z błędnego założenia, nie można dojść do prawidłowych wniosków. Używając niewłaściwej terminologii, nie sposób dokonać poprawnej oceny rzeczywistości. I od tego musimy zacząć.

Kim jest pracodawca? Kimś, kto daje pracę. Czy przedsiębiorca daje pracę? Nie. Przedsiębiorca zbiera owoce czyjejś pracy w zamian za wynagrodzenie. Więc stosujemy termin „przedsiębiorca” zamiast „pra-

codawca”. Jest to czytelne i bliższe prawdzie.

Kim jest zatem pracobiorca? Kto „bierze” pracę? Na pewno nie pracownik. Więc zamiast terminu „pracobiorca” lepiej używać słowa „pracownik”. Nie powoduje to zamieszania w naszym myśleniu.

Tak więc przedsiębiorca zatrudnia pracownika, oferując mu w zamian za wykonaną pracę odpowiednie wynagrodzenie. To już brzmi lepiej.

Przy podejściu do pracy jako towaru wiele zjawisk można uznać za naturalne i absolutnie uzasadnione, a przykłady można z łatwością odnaleźć w naszym mieście.

Chociażby Agencje Pracy Tymczasowej. Ktoś kupuje czyjaś pracę taniej i sprzedaje drożej. Jak skarpety czy telewizor. Wynajmuje pracowników jak maszyny. Leasing pracownicy, który na szczęście jeszcze nie kończy się przejściem na własność pracowników po określonym czasie. Zglobalizowane XIX-wieczne niewolnictwo na miarę XXI wieku. Różnica staje się zyskiem, bez żadnego wkładu z jego strony. Jeszcze otrzyma wsparcie finansowe ze strony państwa. Żyć nie umierać. Eldorado kosztem pracowników. Kosztem człowieka.

Kolejnym efektem takiego podejścia jest swoista zmowa przedsiębiorców. W ramach tzw. wolnego rynku nie ma potrzeby podnoszenia wynagrodzeń w naszej Strefie Ekonomicznej. Wysokość wynagrodzeń jest ustalana na podstawie średniego wynagrodzenia na „lokalnym rynku pracy”. I tyle. Komu się nie podoba, niech szuka szczęścia w pośredniaku albo w Anglii.

Co gorsza, ten sposób myślenia niestety jest promowany wśród ab-

solwentów szkół wyższych, których uczy się nieświadomie umiejętności „drogiego sprzedania się” przedsiębiorcy. Nic dziwnego, że ci młodzi ludzie, którym od młodości wpaja się materialistyczne podejście do rzeczywistości, po objęciu stanowisk kierowniczych nie potrafią w inny sposób zarządzać pracownikami, niż traktując ich jako „biologiczny wypełniacz procesu technologicznego”. W taki sposób kształtuje ich system edukacji, wmawiając, że człowiek jest dla pracy, a nie praca dla człowieka.

Wracając do pytania postawionego w tytule. Po co karmią nas takimi banialukami? Ano żeby było taniej. Żebyśmy nie upominali się o godne traktowanie. Abyśmy nie mogli powiedzieć: mój przyjaciel ma lepiej, ja też tak chcę. Abyśmy myśleli: tak jak jest, jest dobrze, nie chcę znaleźć się w tak złej sytuacji jak mój bezrobotny sąsiad. Abyśmy związki zawodowe traktowali jako niepotrzebny koszt, a związkowców jako szkodliwych darmozjadów żyjących czyimś kosztem. Abyśmy przypadkiem nie stawali jedni w obronie drugich. To już jest niebezpieczne. To może zburzyć wygodny dla wielu system.

## Przeszłość

Ciąg dalszy ze str. 3

Nie mogę się powstrzymać, by nie zacytować w tym miejscu wiersza Czesława Miłosza „Który skrzywdziłeś”: „Który skrzywdziłeś człowieka prostego/ Śmiechem nad krzywdą jego wybuchając./ Gromadę błaznów koło siebie mając/ Na pomieszanie dobrego i złego, //

Choćby przed tobą wszyscy się klonili/ Cnotę i mądrość tobie przypisując./ Złote medale na twoją cześć kując./ Radzi że jeszcze dzień jeden przeżyli, // Nie bądź bezpieczny. Poeta pamięta./ Możesz go zabić - narodzi się nowy./ Spisane będą czyny i rozmowy. // Lepszy dla ciebie byłby świt zimowy/ I sznur i gałąź pod ciężarem zgięta”.

Dwa może trzy lata temu prezydent Wałbrzycha Roman Szelemej rzucił hasło „Ożywić rynek!”. Ten slogan aż prosi się o parafrazę, która brzmi „Odżywić rynek!”. Może to bardzo gorzka parafraza, ale prawdziwa. Dekretem nie uda się miejsce ludzkiej biedy i niedostatku zmienić w obszar radości, gdzie w kawiarniach, restauracjach i klubach wolny czas spędzają szczęśliwi ludzie. Moje kontakty z okolicami rynku odbywają się najczęściej po wyjściu z koncertu w naszej Filharmonii Sudeckiej. Wchodzimy wtedy w realny świat, bardzo szybko zmierzając do samochodu. Po drodze nigdy nie spotkaliśmy patrolu policyjnego, często zaś nietrzeźwych, bywa że agresywnych młodych ludzi. Nie o takim ożywieniu myślał Pan Prezydent.

Ten felieton miał być poświęcony kulturze. Trudny to wymóg, bo w naszej rzeczywistości kultura staje się niekochanym dzieckiem, na którego rozwój i utrzymanie przeznaczają się coraz mniej środków. Może więc na wzór starożytnej Grecji mocą ustawy powołany zostanie „choreg”. Choreg to w miastach-

-państwach, lecz głównie w Atenach, wolny obywatel wyznaczony przez najwyższego urzędnika (archanta). Rolą chorega, a zarazem zaszczytnym obowiązkiem było zebranie na swój koszt chóru mającego występować w widowiskach teatralnych lub muzycznych, ale także ten chór wyposażać w kostiumy.

W naszym społeczeństwie, tak bardzo rozwarstwowionym pod względem stanu posiadania, znalazłaby się spora grupa choregów, również z klasy politycznej. Pytanie, czy im kultura jest potrzebna, pozostawiam bez odpowiedzi. Myślę, że bliższa im jest zasada zaczerpnięta ze starożytności divide et impera (dziel i rządź), a dokładniej wzniecając konflikty na zagarniętych terenach, a łatwiej utrzymasz władzę. Nadużycie? Chyba jednak nie... Na dowód tego przytoczę fragment wypowiedzi profesora Janusza Czaplińskiego z „Gazety Wyborczej”: „Rośnie fundamentalistyczny radykalizm w młodym pokoleniu Polaków. Módlmy się, by jak najszybciej wyemigrowali, dzięki czemu ochronimy porządek...”.

Likwidowanie podziałów na młodych, starych, oszołomów itd. to dziś wymóg wręcz patriotyczny, to także efektywny, oczywiście poza wyborami, sposób wywierania presji na rządzących. „Nie pytaj komu bije dzwon, bije on tobie” (John Donne 1572-1631). Nie wolno nam być obojętnymi na zło, na krzywdę, która spotyka sąsiada, kolegę z pracy.

W sierpniu 1980 roku byliśmy zjednoczeni, staliśmy się społeczeństwem obywatelskim. Komuniści nie przewidzieli tego. Przypartym do muru pozostała tylko brutalna siła. Musieli odejść bądź na potrzebę nowej rzeczywistości przebarwić się. To nie tylko historia, bo dziedzictwo, bo doświadczenie sierpnia „to dziś, tylko cokolwiek dalej”.

## Robert Bogusław Nowak

**Wałbrzyszanin z urodzenia. Poeta od dobrych kilku lat piszący haiku, tanki, haibuny i haigi, w których stara się uchwycić piękno otaczającej go przyrody i osobiste przeżycia. Publikował w „Mainichi Daily News”, „Asahi Haikuist Network”, „Word Haiku Assosation”, „Daily Haiga” i innych miejscach na świecie. Swoje wiersze haiku wraz z innymi twórcami tej subtelnej poezji wydał w czterech antologiach haiku.**

Haiga jest szczególnym rodzajem powiązania japońskiej poezji z malarstwem i kaligrafią, formą uprawianą od poł. XVII wieku do chwili obecnej. Najczęściej praktykowaną poezją w okresie Edo (1603-1868) było skomponowane z 17-u sylab haiku. Termin „haiga” powstał z połączenia sylaby hai (od haiku) oraz ga (jap. obraz, malarstwo). Współcześnie stosuje się też grafikę i fotografię.



jej pocałunek  
zaraz potem następny  
i jeszcze jeden  
zbudzony nagle  
w tę chłodną jesienną noc



trzęsienie ziemi  
tylko słońce na niebie  
takie spokojne



pohukiwanie sowy –  
kolyszą się w świetle księżyca  
bezlístne drzewa

# Zniewolenie

Dariusz Dembiński

**Wałbrzych to piękne i malowniczo położone miasto. Jego mieszkańcom założono jednak kajdany strachu o własne jutro. Zamknięto kopalnie i zakłady produkcyjne, stawiając na ich miejscu galerie handlowe i montownie. Nowo powstałe zakłady zatrudniają większość pracowników na umowy śmieciowe. Dla ludzi kurczowo trzymających się własnego miasta „mieć” zostało zastąpione podstawowym instynktem „być”.**

Strefa ekonomiczna z montowniami obcych produktów zatrudnia ludzi w systemach czterobrygadowych, niespotykanych w innych częściach Unii Europejskiej. Wielu wałbrzyszan niemożących znaleźć sobie miejsca w tym feudalno-kapitalistycznym ustroju ucieka masowo do innych krajów, pociągając za sobą całe rodziny i dając jasno wszystkim do zrozumienia, że nie chcą wracać już nigdy do Polski. Wielu się poddaje i z normalności ucieka w patologię. Udując życie, podtrzymują fałszywe iluzje tanim winem i brudnymi narkotykami. Ludzie, którym udało się jeszcze utrzymać normalność, patrzą zza czystych firanek i modlą się, aby zaraza neokolonializmu nie zakradła się do ich domów. To Wałbrzych właśnie, miasto nie dające swym mieszkańcom większej nadziei na poprawę jutra. Miasto, które powoli umiera.

O grupie, która zabezpieczyła swoje interesy i ma się dobrze, pisać szczegółowo nie trzeba. To namiestnicy ustanowieni przez „transformację ustrojową”, trzymający w dłoniach medialne sznurki i mający doradców od dobrego wizerunku. To oni sprzedają sny o ponownym otwarciu w Wałbrzychu kopalni, które kończą otwarciem kolejnego muzeum. Są to sny miłe i nic poza tym. To oni z zadowoleniem uchwalają kolejne ulgi i zwolnienia podatkowe dla obcych koncernów i biznesmenów, skazując na zagładę miejscowych przedsiębiorców, którzy płacąc podatki, nie mogą konkurować z obcym kapitałem.

Przemysł polski w Wałbrzychu praktycznie przestał istnieć. Kopalnie, polskie banki, polskie zakłady produkcyjne zostały zmiecione z powierzchni ziemi. Tsunami transformacji ustrojowej nie oszczędziło żadnej polskiej firmy. Te, które przeżyły katastrofę, dogorywają, szukając wsparcia obcego kapitału, ale jak ktoś z „bogatej” części Polski powiedział: „Wałbrzych leży na drodze donikąd”. Nie będzie wsparcia i nie będzie nawet doraźnej poprawy. Wałbrzych zdaje się być atrakcją tylko dla zdesperowanych redaktorów tygodników piszących o naszej biedzie i najtańszych w Polsce prostytutkach. Chcieliśmy wolności, mamy kierat. Marzyliśmy o lepszym jutrze dla naszych dzieci, a jedyne, co mogliśmy i możemy w wielu przypadkach zrobić, to kupno biletu lotniczego do Londynu, Amsterdamu czy innego zachodniego miasta



dla swoich bliskich jadących za chlebem.

Można wyciągać kolejne sprawy i kolejne przykłady. Biedaszyby, targowiska itd. Można, ale po co? Jak jest w Wałbrzychu, wiemy doskonale. Skupmy się jednak na rzeczach najważniejszych. Wałbrzych to nie lej po bombie tylko miasto z niesamowitym potencjałem surowcowym i mineralnym. To miasto mające hałdy warte tak wielkie sumy, że ciężko byłoby je wycenić, patrząc tylko na obecny tani proces odzyskiwania metali szlachetnych i kolorowych. A to oczywiście miejsca pracy dla załóg przy recyklingu i wzrost zatrudnienia w zakładach remontowych i usługowych.

Kiedyś stary sztygar kopalni Wałbrzych powiedział rzecz, która utkwiła mi w pamięci: „Z braku wydobycia węgla przeróbmy hałdy, bo w nich jest bogactwo”. Pytanie tylko, czy osoby decydujące o Wałbrzychu chcą rozwoju miasta? Drugie pytanie brzmi, co się stanie, kiedy rzeczywiście wydobycie węgla lub przerób hałd stanie się faktem, a nie pustą obietnicą wyborczą kolejnego urzędnika „transformacji ustrojowej”. Jak obce firmy poradzą sobie z deficytem taniej siły roboczej? Biznesmeni to nie siostry z Armii Zbawienia, to gracze, dla których liczy się zysk i tylko wymierne korzyści są dla nich istotne. To, że są zwolnieni z podatków, to za mało. Oni chcą taniego pracownika, który bez szemrania będzie wbrew swoim prawom pracowniczym wykonywał polecenia szefostwa. Kiedy dla ludzi pojawi się alternatywa inna, niż uciekać z Polski lub ulec dobrowolnie zniewoleniu w zakładach pracy oferujących najniższą krajową lub umowy śmieciowe, to co wałbrzyskanie wybiorą?

Kiedy jednak zaczyna się podnosić temat pozyskiwania minerałów i surowców z hałd, wyskakują chochliki udające ekologów i straszą mieszkańców byłego górniczego miasta hałasem, pyłem i dużym ruchem związanym z produkcją.

Musimy powiedzieć sobie jasno i wyraźnie. Nie jesteśmy winni

temu, że ulegliśmy euforii wolności i w tym uniesieniu pozwoliliśmy zacisnąć sobie metalową obróżę na szyję przez obcy kapitał. Nie byliśmy zupełnie przygotowani na życie w realiach kapitalizmu i nie wiedzieliśmy, że kapitaliści z Europy Zachodniej zrobią z nas niewolników. Nie mogliśmy tego przewidzieć, bo byliśmy jak dzieci wyciągnięte z kłujących pędów czerwonych jeżyn, szczęśliwi, że w końcu ktoś nas z nich wyciągnął. Oddaliśmy swą wolność w ręce okrutników mających tylko jeden cel: wzbogacić się naszym kosztem. Nasz entuzjazm i wiara, że gorzej niż w socjalizmie być nie może, okazały się mylne. Stało się to, czego nikt nie przewidywał: zostaliśmy państwem neokolonialnym.

Kraje Zachodu, które potraciły swe kolonie w Afryce i Azji, nauczone podstępem i przekupstwem „elit rządzących” wymuszały w podbitych przez siebie krajach korzyści dla siebie, rozpoczęły powolny podbój Polski. Podbój gospodarczy i terytorialny. Kryzys gospodarczy i społeczny w Wałbrzychu to nie wstydliva choroba, to cierpienie polskich rodzin i tylko w kontekście narodowego solidaryzmu może zostać opanowany. Byś może piszę zbyt pesymistycznie, ale kiedy mam okazję przejechać przez Gaj, Biały Kamień czy nawet wejść w jedną z bram na rynku, ulatuje ze mnie entuzjazm wywołany położeniem nowego trotuaru na głównej ulicy Wałbrzycha.

Nam potrzeba przemysłu w Wałbrzychu, a nie kolejnego pomysłu na supermarket lub muzeum. Potrzeba nam władzy chcącej odchudzić bezpłodną w swych czynach biurokrację. Nam potrzeba fachowców mających plany rozwoju miasta na kilkadziesiąt lat do przodu, a nie kacyków demokracji z czteroletnim programem doraźnych napraw elewacji i dziurawych dróg. Nie udawajmy, że wszystko jest w porządku, bo zadawałamy się ochłapami z europejskiego stołu, a to ani godne, ani sprawiedliwe.

## Administracja rządowa w województwie



Krzysztof Grzelczyk

Dolny Śląsk jest częścią historycznego Śląska. Po drugiej wojnie światowej został na nowo zasiedlony przez Polaków przybyłych z różnych stron Polski i świata. Według obecnych badań blisko połowa mieszkańców Dolnego Śląska przyznaje się do korzeni kresowych. W ciągu kilkudziesięciu powojennych lat województwo (wcześniej pod nazwą wrocławskie) zmieniało swoje granice. Dzisiaj Dolny Śląsk ma w swoich granicach cztery województwa utworzone w czasach Edwarda Gierka, I sekretarza KC PZPR (jeleniogórskie, legnickie, wałbrzyskie i wrocławskie), oraz niewielkie części dawnych województw leszczyńskiego i zielonogórskiego. Skutki tych reform administracyjnych są takie, że obszar działania np. sądów i prokuratur apelacyjnych nie odpowiada granicom województw (my obejmujemy swoim zasięgiem dodatkowo województwo opolskie). Administracja kościelna też nie nadąża za zmianami, np. dolnośląski Głogów podlega biskupowi zielonogórskiemu z województwa lubuskiego.

Dolny Śląsk w oczach innych mieszkańców naszego kraju uchodzi, z nieznanym powodem, za krainę powszechnej szczęśliwości. PKB mamy wprawdzie wyższy od średniej krajowej, ale udział w najnowszej emigracji zarobkowej też mamy wyższy od średniej. Tak jak w przypadku całego kraju, wskaźnik PKB jest bardzo mylący. Na jego wielkość składa się wartość dóbr i usług wytworzonych na tym obszarze. Jednak fakt, że te wartości tworzą zagraniczne banki, hipermarkety, montownie działające w strefach ekonomicznych – czyli podmioty wyprowadzające z Polski powstałe tu zyski – powoduje, że realne korzyści z teoretycznie wysokiego PKB są znikome.

Ma ta nasza ziemia niewątpliwe uroki krajobrazowe, z Karkonoszami na czele. Znajduje się tu także jedna czwarta wszystkich polskich zabytków. I choć w stosunku do stanu sprzed wojny wiele popadło w ruinę, to trzeba pamiętać, że tysiące z nich zostały nie tylko odbudowane po wojnie, ale i doprowadzone do stanu pierwotnej świetności. O połączeniu się z Dolnym Śląskiem marzy też wielu mieszkańców zachodniej

Opolszczyzny (Brzeg, Nysa, Namysłów). Chodzi nie tylko o sentyment, ale naturalne powiązania z Wrocławiem poprzez pracę czy naukę. Np. Grodków w powiecie nyskim ma kilkanaście bezpośrednich połączeń autobusowych ze stolicą Dolnego Śląska i ani jednego z Opolem. Kiedy rząd AWS w 1998 roku tworzył duże województwa, początkowo opolskie miało nie być i te wspomniane trzy powiaty byłyby częścią Dolnego Śląska. Reszta miała trafić do Górnego Śląska. Politykom zabrakło jednak wówczas silnej woli do przeprowadzenia tej reformy według pierwotnych planów. W efekcie zamiast dwunastu województw, powstało ich szesnaście.

Przedstawicielem Rady Ministrów w województwie jest wojewoda. Tym samym jest on najwyższym rangą urzędnikiem państwowym w terenie. Kieruje tam administracją rządową, sprawuje nadzór prawny nad samorządami, odpowiada za bezpieczeństwo publiczne. Reforma ustrojowa z roku 1998, która powołała do życia starostwa oraz samorząd województwa, niezbyt dobrze rozwiązała kwestię podziału kompetencji między organami samorządu a wojewodą. W dodatku przez te wszystkie lata stale postępuje przekazywanie zadań. Wśród polityków Platformy ma to wręcz źródła ideologiczne; należy wzmacniać „regiony” kosztem integralności państwa.

Są różne formy pełnienia funkcji wojewody. Niektórzy twierdzą, że niewiele na tym stanowisku można zrobić. I tak uwierzyli w tę tezę, że rzeczywiście niewiele robią lub unikają podejmowania decyzji. Przykładem takiej postawy jest obecny wojewoda dolnośląski z PO, którego nazwisko mało kto zna. Inni uważają, że po to obejmują ten urząd, aby wypełniać polecenia partyjne. Przykładem takiego wojewody był Rafał Jurkowlanec, też z PO. Inni kierują się po prostu ustawą, zadaniami i możliwościami tam zapisanymi. W ramach tego mają sporą samodzielność i możliwość kreowania polityki. Ten właśnie model sprawowania urzędu starałem się realizować. Nie podobało się to politykom opozycji, ale też niektórym posłom w moich własnych szeregach. Stosowałem jednak zasadę, że wobec prawa wszyscy są równi. I duże miasta, i małe gminy, i te rządzone przez „swoich”, i te rządzone przez opozycję, w rozstrzygnięciach nadzorczych w tych samych sprawach otrzymywały takie same decyzje. Kiedy kończyłem swoją misję, od wielu samorządowców usłyszałem słowa uznania za taką właśnie politykę.

### Cytaty warte zapamiętania:

„Ludzie którzy nie odmawiają sobie niczego, odmawiają wszystkiego innego.”

Leigh Hunt

„Sam siebie stworzył i modli się do swojego stwórcy.”

Benjamin Disraeli

# Obywatelka L.

Jerzy Jacek Pilchowski

*„Jest kobieta, która wierzy,  
że złocenia są złotem,*

*i kupuje schody do nieba ...”*

(„Stairway to Heaven”,  
Led Zeppelin, 1971)

Dowiedziałem się, że wałbrzyski teatr wystawi sztukę Artura Pałygi „Obywatel K.” w reżyserii Piotra Ratajczaka. Postukałem więc w klawiaturę i znalazłem scenariusz tej sztuki w piśmie „Dialog” (9/2012). Delikatnie mówiąc, tekst jest bardzo nierówny. Ciekawe są tylko dialogi Marianny i Jareczka. Wskazują na to, że Pałyga potrafi czasami pisać trochę lepiej niż większość współczesnych „klasyków”. Po trosze z ciekawości, po trosze z dziennikarskiego obowiązku odzłowałem stowę na bilety i poszliśmy z żoną na premierę.

Głównym bohaterem, obecnym cały czas na scenie, ale najczęściej milczącym, jest Kajetan (Ryszard Węgrzyn) – działacz „Solidarności”. W spektaklu występują też: Agnieszka (Aleksandra Przybył) – współczesne wcielenie Agnieszki z filmu „Człowiek z marmuru”, jej asystenci – Marianna (Anna Konieczna) i Jareczek (Piotr Mokrzycki) oraz przebrane w garnitury chochoły (Dariusz Czajkowski, Jarosław Karpuk, Michał Kosela, Andrzej Kroczyński, Piotr Mokrzycki i Piotr Tokarz).

Początek to otwarcie kawałka autostrazy. W scenie drugiej Sekretarz Redakcji informuje Agnieszkę, co wolno, a czego nie wolno. Wrócić w tak daleką przeszłość (nawiązanie do filmu „Człowiek z marmuru”) to typowa ucieczka od tego, czego „tu i teraz” nie wolno. Bardziej aktualne, czyli bardziej prawdziwe, byłoby nawiązanie do rozmowy Krzysztofa Leskiego z Adamem Michnikiem. Krzysztof (działacz „Solidarności”, syn Kazimierza Leskiego, oficera AK, który wielokrotnie przemierzał



Agnieszka po rozmowie z ...

hitlerowskie Niemcy w mundurze generała Wehrmachtu) pracował w „Gazecie Wyborczej” i chciał opublikować tekst, który nie podobał się Adasiowi. Ich rozmowa wyglądała mniej więcej tak:

KL: – Przecież „Gazeta” jest piśmie niezależnym.

AM: – Po moim trupie.

Nawiązanie do tej rozmowy pomogłoby autorowi wymyślić lepszy tytuł. Mógłby na przykład stoczyć się w racjonalny radykalizm i swoją sztukę zatytułować „Obywatelka L.” (L jak „loser”, czyli „a person doomed to fail” – osoba skazana na upadek).

Idźmy dalej. Egzekutor stara się namówić Kajetana, aby wyniósł się po dobroci ze swojego nieba. Przeszkadza bowiem innym w budowaniu schodów do ich nieba. Ale Kajetan jest mądry. Nie pozwala się oszwać, czyli wygonić, przed wyczerpaniem wszelkich procedur. A do reprezentantki reżimowych mediów mówi: Wynocha!

Agnieszka jest tym wstrząśnięta

i stara się wyciągnąć więcej informacji od Egzekutora. Dowiaduje się, że Kajetan to ważna postać z czasów „Solidarności”. Efektem tej rozmowy są nocne majaki Agnieszki, która instynktownie czuje, że jeśli będzie chciała być uczciwa i obiektywna, to będzie miała kłopoty. Dociera jednak do Rektora, który jako były esbek „wie wszystko”. Dostaje od niego wytrych do drzwi Biskupa. Jest nim sugestia, że Biskup ma na sumieniu wypadek spowodowany po pijanemu. Ten wątek naprawdę jest wytrychem. Na przykład do tego, że pokolenie wychowane przez „GW” i TVN wierzy, iż wystarczy kopnąć „czarnego”, aby być gierojem. Jest to o tyle ciekawe, że cofa nas mentalnie do PRL-u. Wątek ten nawiązuje do szeroko znanej sprawy wypadku, w którym ksiądz potrafił przechodnia. W jego samochodzie jechali wtedy działacz „Solidarności” i trockista. Alkomat niczego nie wykazał, ale esbecja miała raport „osobowego źródła informacji”, z którego wynikało, że ksiądz odprawił tego dnia mszę.

Czyli pił wino! Sprawa wyglądała więc na rozwojową. Tym bardziej że tego księdza esbecy mieli na liście do zabicia. Sprawa się jednak ryła. Areszt wydobywczy nie przynosił skutku („Agnieszka: Kajetan był kontaktowy? Rektor: Wie pani, jak go nazywaliśmy? Idiota. Agnieszka: Dlaczego? Rektor: Bo w tamtych czasach czytało się wielką literaturę rosyjską.), a polaczki (nawet te z SB) nie mogły przecież zamykać trockistów na zbyt długi okres. Autorowi pasowało jednak inaczej. Teatralny Biskup ulega szantażowi, czyli przyznaje się do winy. Zgadza się na rozmowę z Agnieszką i daje jej list polecający. Dzięki temu Agnieszka dociera do Prezydenta Miasta. Tutaj mamy czystej wody wizjonerstwo. Autor już w roku 2012 przewidział, jakie będą wałbrzyskie realia w roku 2015.

Agnieszka rozmawia również z Człowiekiem Lewicy i Socjotechnikiem Partii Zwycięskiej. Te chochoły są jednak sztampowe, czyli nudne. Lepsza jest scena z Prezydentem Państwa. Agnieszka prosi go, aby pomógł swojemu dawnemu przyjacielowi Kajetanowi. Prezydent udaje, że słucha i bawi się w polowanie, podczas którego zabija przez przypadek BOR-owca. Podtekst jest olśniewająco jasny. Jeśli Prezydent przekroczy granicę tego, co mu wolno, to też coś go może trafić.

Dalej jest oczywista oczywistość. Sekretarz Redakcji wywała Agnieszkę z roboty. A juniorzy krzyczą „Nie ma wolności ... Nie ma wolności ...” i sięgają po butelki z benzyną. W tym miejscu autor i reżyser stracili szansę na bycie awangardą. Gdyby zamiast butelek z benzyną włożyli w ich ręce kartki wyborcze, to... splonąłaby szansa na bycie „młodym i zdolnym”.

Deklamowano również „Który skrzywdziłeś ...”, co jest już od dawna passé. Trzeba było poszukać bardziej nowoczesnych skojarzeń. Na przykład, w kontekście modnej obecnie dekarbonizacji, lepiej pasuje w tym miejscu wiersz „Idą pancry na Wujek ...”.

Czas na epilog. Duża część tekstu, który słyszałem ze sceny,

niewiele ma wspólnego z tym, co przeczytałem w „Dialogu”. Piotr Ratajczak, reżyser tego przedstawienia, w odpowiedzi na mój e-mail, napisał: „(...) ze zmianami w tekście jest ciekawa sprawa – tekst powstał z mojego pomysłu, a napisany przez Artura Pałygę na Festiwalu Boska Komedia w Krakowie 2011 powstało kilka jego wersji [COŚ TU JEST NIE TAK] – ja wybrałem i zaprezentowałem jedną z nich na czytaniu scenicznym w Teatrze Słowackiego w Krakowie na Festiwalu Boska Komedia (4 lata temu), inną wersję (rozumiem, że bliższą sobie) opublikował Artur Pałyga w Dialogu”.

W tym miejscu nie narzekam. Ten scenariusz jest bez wątpienia lepszy niż młodsze o rok „libretto” Pałygi. A w temacie „dynamicznego” biegania po scenie, wracając do cytowanej już tęsknoty za wielką literaturą rosyjską, uważam, że dziewczyny grające Agnieszkę i Mariannę są wystarczająco zdolne, aby udźwignąć jeden z piękniejszych opisów tęsknoty: „Anna Karenina podeszła do okna ...”. Życzyć im, aby dano im kiedyś szansę zagrać w sztuce opartej na dobrej literaturze.

Po epilogu czas na puentę. Bezrobotna Agnieszka gubi power. A Kajetan, nawet jeśli jest ateistą, rozumie znaczenie słów: „Przeżycie sobie znak pokoju”. Poczesa ją więc opowiadaniem o rosnących w jego ogrodzie kwiatach. Ale Agnieszka nie słucha, tylko płacze. (W tym miejscu pomyślałem, że z uzasadnionego strachu przed Egzekutorem, który w imieniu Jego Eksceleńcy – nie Biskupa, tylko prezesa banku – wywali ją na zbity pysk z Miasteczka Wilanów.)

I na końcu tej sceny Agnieszka mówi: „Panie Kajetanie! Nie ma już tego ogrodu”. Finita la komedya. Biedaczka, ciągle chyba nie rozumie, że o Kajetana martwić się nie trzeba. On jest twardy i nie pozwoli się drugi raz okraść. Wywalczy uczciwe odszkodowanie i kupi sobie nowy dom. Będzie miał większy ogród.

Nam pozostaje mieć nadzieję, że Agnieszka i jej pokolenie uwolnią się wreszcie od bycia „L.”.

## Kultura samotności

Józek Śreniowski

**Z pewną dozą przesady można powiedzieć, że od lat 60. XX wieku kultura buntu stawiała się glebą, na której wzrastał stopniowo świat wirtualny, świat sieci. Że stała się niezamierzenie dźwignią przemiany społeczności zbuntowanych w świat samotników.**

Z jednej strony widzę kosmitów ze słuchawkami na uszach, których o nic nie pytam, skoro nie słyszą. Inni, słysząc, są tak pochłonięci smartfonem i gram, że pozostają nieobecni. Budują świat w Minecracie.

Z drugiej wiem, jakie znaczenie dla rozwoju ludzkiego mózgu ma odwodzenie kciuka i podziwiam szybkość komunikacji na klawiaturach iPodów, niezwykle przyspieszenie zdolności manualnych kciuka i pozostałych palców. Jestem chyba z innego etapu ewolucji, pisząc z zastanowieniem.

Pokolenie coraz młodszych down headów dokonuje bezwied-



nie wyboru. Samotności. Urządzeń do komunikacji używa, przerywając porozumiewanie się człowieka z człowiekiem. Emotikony nie odpowiadają przeżyciom czy uczuciom. Są częścią opakowania, a nie zawartości. Słów potrzeba coraz mniej, jakby ludziom wystarczyły dźwięki nieartykułowane. I parę skrótów

klawiaturowych.

Dokonuje się ucieczka w świat wirtualny i digitalny, pociągający i odwracający od realnych zjawisk. Moim zdaniem ucieczka od samego siebie w nową jakość człowieka: „ja i sieć”. Człowiek staje się niepełnosprawny bez protezy sieci. Czy potrafiłby wrócić do kartki papie-

ru albo poradzić sobie przy braku prądu czy paraliżu Internetu? Na jakie pomysły wpadłby sam, gdyby zabrakło gotowych standardów dzisiejszej technologii? I czy pierwszą reakcją byłaby panika (panic disorder)?

Człowiek znany dotąd żył w społeczności, a nie w sieci. A teraz zostaje usidlony w sieci. Jeśli lubi być złowiony.

Portale społecznościowe i inne fora internetowe są jakby zastępczą opinią publiczną, jednak niezwykle rozproszona, wirtualną agorą, gdzie każdy zabiera głos sam. A agora to demokracja bezpośrednia możliwa wyłącznie w niewielkiej społeczności mieszkańców miasta. (U Platona projektowana na maksimum 5040 obywateli wyliczonych z magicznej siódemki silnia! Pitagorejczyków). Globalna wioska jest o wiele rzędów liczniejsza i wioskowej demokracji bezpośredniej nie udźwignie.

Opinia publiczna w dotychczasowym znaczeniu nie występuje albo jest wycofana czy wiedz-

nie. Wspólnoty Internetu tylko raz wystąpiły skutecznie w obronie: w sprawie ACTA. To trochę mało, by zmieniać świat. Opinia publiczna na tym polega, że nie potrzebuje adresata. Ten może milczeć, bo żywa opinia, zawsze podzielona, prowadzi dialog z drugą stroną opinii. Nie kieruje go do adresata. Media mogą jej sprzyjać, ale też media i korporacje potrafią być śmiertelnym wrogiem opinii publicznej. Próbując ją zastępować, wyprzeć, narzucić, „bo wiedzą lepiej”.

Za Erichem Frommem można powiedzieć o osobowościach merkantylnych i osobowościach cybernetycznych, które posługując się nowymi cyfrowymi narzędziami, coraz głębiej tkwią w sieciach, nie mając w nich swobody wyboru: być czy mieć.

Człowiek nie żyje w sieci. Społeczności i opinia publiczna były jego naturalnym środowiskiem jeszcze w XX wieku.

Czy down head nad smartfonem to nowy typ człowieka XXI wieku?

# Aby świętować trzeba pamiętać

Jerzy Langer

**Pod koniec grudnia ubiegłego roku media obiegła wiadomość: „Sikorski utrzymał dekret Bieruta. Sejm zawieszka prace nad zniesieniem komunistycznego święta”.**

Dla przypomnienia tekst tego dekretu: „Celem upamiętnienia po wsze czasy zwycięstwa Narodu Polskiego i Jego Wielkich Sprzymierzeńców nad najeżdźcą germańskim, demokracji nad hitleryzmem i faszyzmem, wolności i sprawiedliwości nad niewolą i gwałtem – dzień 9 maja, jako dzień zakończenia działań wojennych, stanowić będzie Narodowe Święto Zwycięstwa i Wolności” (Dekret podpisany przez Bolesława Bieruta w maju 1945 r.).

Projekt ustawy autorstwa PiS poległ. Ale prezydencka kampania wyborcza spowodowała, że 24 kwietnia 2015 roku Sejm przyjął ustawę znoszącą jednak to „święto”. Jednocześnie Sejm zastąpił je nowym – Narodowym Świętem Zwycięstwa. Zwycięstwo bez Wolności będziemy obchodzić nie jak dotąd 9 maja, ale dzień wcześniej, czyli 8 maja. Na pocieszenie kochających „święta wolności” pozostaje informacja: ubyłoby tylko jedno, ale pozostałe nadal są aktualne. Mamy Święto Niepodległości ustanowione w 1937 roku, a po latach zakazu jego obchodzenia przywrócone w 1989 roku. Mamy Dzień Solidarności i Wolności (31 sierpnia) uchwalony jako święto w 2005 roku oraz Dzień Wolności i Praw Obywatelskich (4 czerwca) uchwalony w maju 2013 roku. No właśnie, jeżeli mamy dwa święta wolności i jedno niepodległości, to nasuwa się pytanie, które z tych świąt ma większe znaczenie, a które mniejsze.

Dobrze się stało, że chociaż po 26 latach odpadł nam mało patriotyczny obowiązek świętowania „wolności” zafundowanej nam przez władzę przyniesioną na bagnietach ze wschodu. Ale problem pozostaje. Ustawa znosząca dekret Bieruta oznacza uznanie, że w 1945 roku zakończyła się II wojna światowa, ale Polska aż do upadku komunizmu nie była krajem niepodległym. Potwierdzeniem tej tezy było hucz-



nie obchodzone w ubiegłym roku 25-lecie wolności. Te obchody zepchnęły w cień Dzień Solidarności i Wolności. Pewnie dlatego, że „Solidarność”, mimo usilnych starań obecnie rządzących, nie pozwoliła im zawłaszczyć całkowicie rocznicy 31 sierpnia 1980 roku. (Tak na marginesie, w tym roku przypada 35 lat Polskiego Sierpnia.) Zapomniano też o drugim członie czerwcowego święta, czyli o prawach obywatelskich. Jeżeli wszystkie projekty obywatelskie, poparte milionami podpisów lądują w koszu, to ten brak ma w oczach władzy uzasadnienie. Co do Święta Niepodległości, to wydaje się, że większy nacisk PO na świętowanie 4 czerwca Wolności, pomniejsza znaczenie tego święta.

W Wałbrzychu PO też ma kłopot, i to nie tylko z ustaleniem hierarchii świąt, ale też z ustaleniem znaczenia i roli Armii Czerwonej w historii miasta. Władze miasta i parlamentarzyści uznali, że nie ma przeszkód, aby nadal uznawać tę Armię za wyzwoliciele Wałbrzycha. Prezydenta miasta i posłanek nie interesuje, a może nie wiedzą, że Wałbrzych w ogóle nie był okupowany, gdyż w tamtym czasie był miastem niemieckim, a więc nie mógł być wyzwolany. Nasza część Dolnego Śląska w ogóle nie ucierpiała na skutek działań wojennych. A to dzięki

temu, że Breslau (Wrocław) bronił się do samego końca wojny, dlatego front idący do Berlina ominął m.in. Wałbrzych. Na tych ziemiach pojawili się przesiedleńcy z utraczonych przez Polskę wschodnich rubieży, ludzie ukrywający się przed nową władzą, a także szabrownicy. Owszem, pojawili się też czerwonarmiści. Grabili, co tylko się dało z opuszczonych przez Niemców ziem. Nie oszczędzili nawet kolejowej trakcji elektrycznej i Zamku Książ. Tak wyglądało wyzwolenie. Jeżeli uznajemy dziś, że wyzwoliliśmy się w 1989 roku od zbrodniczego systemu komunistycznego, to dlaczego w Polsce ciągle stoją pomniki Armii Czerwonej? Armii traktującej żołnierzy polskiego podziemia gorzej niż żołnierzy niemieckiego agresora. Chyba nie dlatego, że we wrześniu 1939 roku podczas agresji na Polskę traktowała go jak swojego sojusznika? Gdzie szukać odpowiedzi na te pytania? Na pewno nie w Wałbrzychu.

Żeby było jasne, pisząc pomniki nie mam na myśli grobów żołnierzy, i to żadnej narodowości. W październiku 2012 roku pod patronatem m.in. prezydenta Wałbrzycha dr. Romana Szelemeja, w obecności ambasadora Rosji na Zamku Książ zainaugurowała swoją działalność społeczna rada ds. renowacji cmen-

tarza wojennego Armii Czerwonej w Wałbrzychu. W jej skład oprócz Romana Szelemeja weszły m.in. posłanki Izabela Katarzyna Mrzygłocka i Agnieszka Kołacz-Leszczyńska. Rok później ponownie w Wałbrzychu pojawił się ambasador i konsul generalny Rosji, aby wraz przedstawicielami wałbrzyjskich władz i w obecności spędzonych dzieci uroczystie otworzyć wyremontowany cmentarz. Uroczystości koncentrowały się na pomniku z nową tablicą z napisem „Wieczna chwała bohaterskim żołnierzom Armii Radzieckiej poległym o wyzwolenie Polski”.

W czasie wizyty ambasadora Rosji przed wałbrzyjskim ratuszem pojawili się młodzi według władz przestępcy. Tak komentowały to media: „Kibice Górnika Wałbrzych mieli ze sobą transparent z przekreślonymi symbolami komunizmu – skrzyżowanym sierpem i młotem oraz napisem „Za Wilno, za Katyń, Grodno, za Lwów zapłaci czerwona hołota”. Trzej kibice Górnika Wałbrzych nie zdążyli rozwinąć transparentu, kiedy zostali zatrzymani i umieszczeni w policyjnej izbie zatrzymań. Na drugi dzień zostali doprowadzeni do prokuratury, gdzie usłyszeli zarzuty.

– Trzej zatrzymani mężczyźni usiłowali popełnić przestępstwo, co

jest równoznaczne z jego popełnieniem – mówi Bożena Jażdżyk, prokurator rejonowa w Wałbrzychu. – Usłyszeli zarzuty nawoływania do nienawiści na tle różnic narodowościowych, co jest zagrożone karą pozbawienia wolności do lat 2. Ponadto – publicznego znieważenia poszczególnych osób z powodu ich przynależności narodowej, za co grozi do 3 lat pozbawienia wolności” (naszemiasto.pl). O komentarz warto zapytać prezydenta Wałbrzycha, który pięć miesięcy po tym wiekopomnym wydarzeniu powołuje Komitet Obchodów Święta Wolności (4 czerwca). W składzie Komitetu zabrakło wprawdzie ambasadora Rosji, ale w ten sposób udowodniono, że można jednocześnie świętować Wolność odzyskaną po 50 latach i oddawać hołd najeżdźcy, który przez lata był uznawany za wyzwoliciele. Posłanka Kołacz-Leszczyńska z dumą informuje na Facebooku: „W Dzień Zaduszny na cmentarzu w wałbrzyjskiej dzielnicy Gaj uczciłam pamięć żołnierzy Armii Radzieckiej”. Ciekawe, czy ta przedstawicielka Narodu wie, gdzie znajdują się groby wałbrzyjszan, m.in. senatora Mieczysława Tarnowskiego, Jerzego Szulca, Marty Gąsiorowskiej i innych zmarłych, którym m.in. zawdzięcza, że może obchodzić Święto Wolności?

## 80 tras Podgórze - część II

Wojciech Dziadosz

### Najpierw na południe:

Ze świetlicy o pallotynów z Podgórze chodziliśmy w góry. Pierwszym przystankiem był zamek Bolka Surowego – Nowy Dwór. Zdobywaliśmy go na kilka sposobów. Z leśniczówki, kamieniołomów albo Koziej Przełęczy żółtym szlakiem. A z drugiej strony od ul. Kosynierów też żółtym lub ze wsi Kamionka zielonym. Piękna lekcja historii, geografii, przyrody, sztuki i kultury w jednym. Musiałem się zmagać z utrwalonym infantylizmem wiedzy o historii. Przodków dzieci rozumiały jako śmiesznych ludzików z gier komputerowych.



50 lat temu też tak uczono – „O zachowaniu się przy stole” Przeclawa Słoty uczono jak o kandydacie do ówczesnego Nobla.

Z zamku zapraszały nas wysokie

szczyty – pasmo Kozłów i Borowej z wieloma wariantami powrotów. Penetrowaliśmy wszystkie ścieżki w okolicy tak długo, jak długo wokół zamku było tajemniczo. Od wschodu podejście było tajemnicze, między gęstwiną krzaków, i wkroczenie do zamku ukradkiem, jakby kuchennymi schodami. Wejście od zachodu jest imponujące. Jak na dłoni widać cały stok niezwykle stromy. Wchodzimy, czepiając się gałęzi i kęp trawy. No, ale wejście monarsze, przez bramę i w samo centrum budowli. Widok na pobliskie góry jak w filmie. Najbliżej mieliśmy Góry Czarne – kuszące, gdy wypatrywaliśmy je z ruin. Szczególnie intrygowały dwa krzyże: na Wołowcu i na turni pod Dużym Kozłem. To

przesunęło nam środek ciężkości na Kozią Przełęcz i odtąd zmagaliśmy się już z prawdziwymi górami. Po każdym większym szczycie zwiędzaliśmy tereny po drugiej stronie tego szczytu. Przy schodzeniu z Kozła ujawniła się klaustrofobia (raczej przestrzeniofobia) kilkorga, z jednym przypadkiem dramatycznym. I wielki sukces. Ten chłopiec w następnych miesiącach zdobył największej punktów do GOT.

Po oswojeniu Wołowca i Dłużyny zaczęliśmy przebijać się do Kamińska i dalej. Po drodze był nieczynny kamieniołom, miejsce bardzo niebezpieczne i nadzwyczajna okazja, by prowadzić szkolenie z BHP i zachowania się w górach. (Tu spotkała mnie wielka niespo-

dzianka, dzieci same zachowywały się bezpiecznie i odpowiedzialnie, niespodziankę sprawił emerytowany inżynier górnik, którego z trudem i awanturą odciągałem od ruchomej krawędzi nad kamieniołomem).

Zdobywanie szczytów było bardzo nieformalne, bo mniejsze dzieci wcale, a większe w bardzo ograniczonym zakresie można prowadzić po zdefiniowanych (pow. 600 m n.p.m.) górach. Było to tak blisko, na wyciągnięcie ręki. Jak raz zasmakowały, nie było siły, by się uchylić od kolejnych wejść. Z Gór Czarnych zobaczyliśmy Śnieżkę – był to potem główny punkt odniesienia. A ze wschodnich stoków jednocześnie Wielką Sowę i Ślężę.

Ciąg dalszy na str. 8.

